

TO, CO NAJWAŻNI

Sezon
z Anną Dymną
trwa:

„Ostrze
na ostrze”
jest
kolejnym
spotkaniem
z najbardziej
chyba
lubianą
aktorką
kina
polskiego.
„Film”
rozmawia
z Anną Dymną

● Jest Pani krakowianką – ale urodzoną w Legnicy...

– ...przez przypadek, bo miałam się urodzić w Krakowie, ale mama nie zdążyła z wakacji wrócić do domu. Od drugiego tygodnia życia do dziś mieszkam w Krakowie. W rodzinie nikt nie był aktorem, same ściśle umysły. Nigdy nie udawałam aktorki, bo nie chciałam nią być. Wydawało mi się, że jest

to najtrudniejszy, najdziwniejszy zawód na świecie. Podziwiałam aktorki i nie rozumiałam, skąd biorą tyle odwagi i siły, by się tak odkrywać, obnażać psychicznie, rozdawać swoje uczucia, łzy i uśmiechy obcym ludziom.

● Skąd więc aktorska profesja?

– W szkole podstawowej chciałam być wilkiem morskim, bo ubóstwiałam pływać. Ale ze względu na zdrowie nie wolno mi było tego robić. W szkole średniej myślałam o psychologii i po maturze złożyłam papiery na ten kierunek. W mojej kamienicy mieszkał piętro wyżej stary aktor Jan Niwiński, który prowadził zespół teatralny dla dzieci. Miał niezwykle zdolności pedagogiczne. W jego „Kocim Teatrze” graliśmy bajki dla dzieci, ale też sztuki Szekspira, Goldoniego. Grałam wiele ról – Sierotkę Marysię, wróżkę, koty, świerszcze i krasnale, a też Mirandolinę, Oliwię, Puka. Tu zetknęłam się z wielką poezją i wygrywałam potem konkursy recytatorskie. Pan Jan uczył mnie teatru i robił to wspaniale. W teatryku nie czułam tremy, świetnie się bawiłam, chociaż równie chętnie lazałam po drzewach i jeździłam na rowerze. Mój opiekun uważał, że powinienam być aktorką. Chciałam bawić się w teatr – ale żyć z teatru? Nie! Kiedy jednak złożyłam papiery na psychologię, Niwiński spotkał mnie na korytarzu i powiedział, że jeżeli nie będę zdawała do PWST, zaciągnie mnie tam siłą. Miałam wtedy 17 lat. Zostałam przyjęta.

● Po dyplomie związała się Pani na stałe z krakowską sceną...

– Debiutowałam w dwóch rolach: Isi i Chochola w „Weselu” w reż. Lidii

Zamkow na scenie Teatru im. J. Słowackiego. Byłam wtedy na I roku studiów. Na III roku zagrałam Kasję w „Królu Mieszopuście”. Marzyłam o pracy w Starym Teatrze. I dostałam się – pracuję tu już dziesiąty rok. Czuję się potrzebna w teatrze, na ulicy ludzie uśmiechają się do mnie. To dopinguje. Kraków jest dziwnym miastem, a mój teatr jest niezwykle. Wspaniali reżyserzy, wielcy aktorzy, wierna, wrażliwa publiczność. Tu chce się zawsze pracować – jest z kim i dla kogo. Mimo kryzysu, wielu kłopotów i braków atmosfera pracy nie zmieniła się. Tu nikt nie udaje, nie wstydi się obnażyć w roli, nikt nie patrzy na zegarek, nie traktuje swej pracy jako konieczności. Aktorzy pomagają sobie wzajemnie i ta życzliwość jest niezwykła. Właśnie w teatrze znalazłam prawdziwych przyjaciół, którzy pomogli mi w najtrudniejszych chwilach życia i bez których nie wiem, co by się ze mną stało.

● Które ze swoich ról teatralnych uważa Pani za najważniejsze?

– Kora w „Nocy listopadowej” w reż. Andrzeja Wajdy, Anna w „Wiśniowym sadzie” w reż. Jerzego Jarockiego, Zosia (w zastępstwie) w „Dziadach” w reż. Konrada Swinarskiego. To była rola przełomowa, bo reżyser pokazał, że mogą robić to, czego do tej pory nie robiłam.

● Czy film nie przeszkadzał Pani w karierze teatralnej?

– Zrezygnowałam z wielu ról filmowych na rzecz teatru, bo teatr jest dla mnie miejscem, gdzie można się czegoś nauczyć. W filmach grałam role papierowe, epizodyczne, nieciekawe. Przekonałam się, że na planie filmo-

wym aktor jest tylko jednym z elementów. Męczyło mnie długie oczekiwanie na zdjęcia, bałagan, setki osób, brak skupienia. W teatrze czułam się jak w świątyni. Filmy, które kręciłam, to praca podczas wakacji. Nie straciłam żadnej roli w teatrze.

● A w filmie?

– Zrezygnowałam z wielu wspaniałych chyba ról, ale nie żałuję, bo interesuję się tylko tym, co robię. To, czego nie zrobiłam, przestaje mnie obchodzić.

● Jednak popularność i sympatie widzów przyniósł Pani film...

– Zdaje sobie z tego sprawę. Kiedyś powiedziałam sobie, że nie będę grała w filmach, ale szybko zmieniłam zdanie. Uświadomiłam sobie, że aktor powinien próbować wszystkiego. Popularność jest ważna: im więcej zrobimy, im więcej ludzi może nas oglądać i oceniać, tym lepiej spełniamy się w zawodzie. Popularność pomaga mi w teatrze, bo ludzie przychodzą częściej, żeby „na żywo” zobaczyć aktora znanego z ekranu.

● Jak trafiła Pani na ekran?

– W bardzo zwykły sposób. Kiedyś przyszedł do PWST ktoś z filmu i zrobił zdjęcia dziewczętom z I i II roku, a później otrzymałam telegram, że jestem zaproszona na zdjęcia próbne. To było piekło – chciałam uciekać. Nie mogłam otworzyć oczu przed reflektorem. Wygrałam jednak dwa etapy próbnych zdjęć i tak się zaczęło.

● Jakie były te pierwsze role?

– Nieciekawe. Głupie, naiwne panienki, ale takie miałam warunki fizyczne i w końcu kto miał je grać? Niektóre z ról filmowych – w „Nie ma

Z Andrzejem Wasilewiczem w filmie „Nie ma mocnych”



Z Janem Peszkim i Maridem Frąckowiakiem w filmie „Ostrze na ostrze”



JSZE

„mocnych” i „Kochaj albo rzuć” – były bardzo sympatyczne i miło je wspominać, choć nie mogę powiedzieć, że dostarczyły mi ciekawego zadania aktorskiego. Dojrzałą kobietę zagrałam dopiero w filmie „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny”. Obecnie jestem trochę starsza, więc role naiwnych panienek grają młodsze koleżanki.

● Czy to znaczy, że zmienia Pani emploi?

– Czas biegnie, więc i ja się zmieniam. Wyglądam jak wyglądam, ale nie to jest ważne. U aktora liczy się osobowość, umiejętność sprzedawania pewnych jej tajemnic. To bardzo istotne, bo przykuwa uwagę, sprawia, że widz zapamiętuje aktora. Dusza aktora ważniejsza jest od twarzy. Zdaję sobie sprawę, że do filmu dostałam się dzięki swoim warunkom fizycznym. Znam mnóstwo koleżanek, które w tym czasie były lepszymi aktorkami, ale miały inne warunki i do tej pory nie zagrały na ekranie. Na początku uroda jest bardzo ważna, później zaczyna przeszkadzać.

● Jak Pani wybiera role filmowe?

– Czytam scenariusz i jeżeli cokolwiek zainteresuje mnie w roli, decyduję się grać. Każda nowa rola jest ryzykiem. Wiele zależy od reżysera, od tego, czy potrafię się z nim dogadać. Zaufanie reżysera jest mi bardzo potrzebne.

● A po zakończeniu pracy? Czy zapomina Pani o zagranej postaci i szuka sposobów na identyfikację z następną?

– Nie szukam identyfikacji z postaciami filmowymi. Z każdego filmu coś



Fot. B. Zimowski

zostaje, coś pamiętam, to mnie jednak nie zmienia – raczej buduje. Mam poważny stosunek do pracy. Zawód aktorski wymaga wielu wyrzeczeń, sił psychicznych i fizycznych, a także uczciwości, żeby go prawidłowo wykonywać. Każda nowa rola jest wnikliwie oceniana – jeśli jest zła, może być ostatnią. Dlatego dajemy z siebie wszystko i chcemy być najlepsi.

● Grała Pani również w filmach NRD-owskich i węgierskich. Jakże wrażenia?

– W NRD zrobiłam cztery filmy. Te kontakty nauczyły mnie wiele, bo mają tam innego rodzaju wyobraźnię i wrażliwość. Ale nigdy nie potrafiłam w stu procentach porozumieć się z reżyserem i aktorami. Po prostu inaczej czują, inaczej grają. Z Węgier otrzymałam wspaniałą propozycję, najwspanialszą, jaką dostałam w życiu: rolę w „Węgierskiej rapsodii” Miklósa Jancsó, którego filmy bardzo lubię. Cieszyłam się, że znalazłam się w międzynarodowej obsadzie. Ale nakręcono ze mną tylko dwie sceny, bo jadąc nad Balaton na zdjęcia uległam wypadkowi samochodowemu. Przez pół roku leżałam w szpitalu, reżyser długo czekał na mnie, ale wciąż chorowałam. Jancsó kocha aktorów, co dla mnie bardzo ważne, bo dla takiego reżysera robi się na planie wszystko, nawet rzeczy niemożliwe. W rezultacie jestem w dwóch kadrach „Węgierskiej rapsodii” i żałuję, po raz pierwszy żałuję, że nie zagrałam w filmie.

● Reżyserzy i widzowie chcą Panią oglądać wciąż piękną, najpiękniejszą, subtelną, szlachetną, romantyczną...

– A tymczasem jestem niezwykle szym człowiekiem, żyję tak jak każda kobieta, gotuję, hoduję kwiatki, jeżdżę na rowerze, szyję, maluję obrazki, chodzę z siatkami pełnymi zakupów. Życie domowe jest dla mnie bardzo ważne. Praca aktorska wyczerpuje, dlatego dom, życie osobiste jest odskocznią i tam się chronię. Jeżeli cho-

– Nie tracę czasu na kosmetyczki, fryzjerów – piękne makijaże robię w teatrze i w filmie. Na co dzień dbam, żeby moja twarz odpoczywała i nigdy się nie maluję. Dla urody często się uśmiecham, jeżdżę na rowerze, pływam i uprawiam gimnastykę. Dziwię się, że pisze się o mnie jako najpiękniejszej aktorce, bo uważam, że jestem przeciętna: nos zadarty, oczy skośne po pradziadku Tatarze...

● Kto jest Pani menażerem?

– Moja głowa i nos.

● Potrafi Pani sama zorganizować sobie pracę?

– U nas jest to bardzo trudne. Nie mamy szans na wybieranie ról, możemy je tylko przyjąć lub odrzucić. Szkoda, że nie ma menażerów i reklamy z prawdziwego zdarzenia, nie ma przemysłu filmowego. Ten zawód nie daje żadnej gwarancji, że będzie się w nim zawsze potrzebnym – bywa czasem bezwzględny i niewdzięczny. Jakże często zdarza się, że ktoś wchodzi na rynek, dużo gra i ... znika.

● Czego oczekiwała Pani od aktorstwa?

– Nie oczekiwałam niczego, nie miałam konkretnych marzeń. Wiedziałam tylko, że czeka mnie ciężka praca, o ile będę miała szczęście. To oczekiwanie spełniło się. Moją jedyną obawą było to, że mogę zostać aktorką niepotrzebną. To największe nie-szczęście w tym zawodzie. Gdyby to mnie spotkało, potrafiłabym chyba zrezygnować... Ale ciągle jestem jeszcze potrzebna. Nie mówię o osiągnięciach, sukcesach, bo z tym różnie bywa. Czekam na nowe role, może ciekawsze od tych, które dane mi było zagrać.

● To znaczy, że lubi Pani dużo pracować?

– Bardzo, i tylko wtedy dobrze się czuję.

Rozmawiał
**BOHDAN
GADOMSKI**

dzi o urodę, to nikt mnie jeszcze w filmie nie pobrzydził, ale świetnie się czułam, kiedy reżyser w ogóle nie zwracał uwagi na mój wygląd, bo uważał, że są ważniejsze rzeczy.

● A jednak aktorka musi dbać o urodę?

Z Tomaszem Borkowym w filmie „Do krwi ostatniej”

